

**Hannah Arendt (1906-1975),**  
*Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła,*  
przeł. Adam Szostkiewicz, Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, Kraków 1998.

Nietrudno mi również wyobrazić sobie autentyczną polemikę, jaką mógłby spowodować podtytuł książki, kiedy bowiem mówię o banalności zła, czynię to jedynie na poziomie ściśle faktograficznym, wskazując na zjawisko, w obliczu którego stanęliśmy na procesie. Eichmann nie był Jazonem ani Makbetem i nigdy nie powstało mu w głowie, by - w ślad za Ryszardem III - postanowić, że "okaże się łajdakiem". Pomijając to, że z niezwykle pilnością zabiegał o postępy osobistej kariery, nie kierował się żadnymi pobudkami. W samej zaś jego pilności nie było niczego zbrodniczego, z pewnością nie zamordowałby swego przełożonego, by zająć jego stanowisko. Nazywając rzecz językiem potocznym - on po prostu nie wiedział, co robi. To właśnie dzięki owemu brakowi wyobraźni mógł siedzieć całymi miesiącami przed obliczem niemieckiego Żyda prowadzącego policyjne przesłuchanie, wywnętrzając się przed tym człowiekiem i tłumacząc mu w nieskończoność, jak to się stało, że doszedł w SS jedynie do rangi podpułkownika i że to nie z jego winy nie przyznawano mu awansu. Właściwie wiedział doskonale, o co w tym wszystkim chodziło, a w swym wystąpieniu przed sądem wspominał o "rewizji wartości zalecanych przez władze [nazistowskie]". Nie był głupcem. To czysta bezmyślność - której bynajmniej nie należy utożsamiać z głupotą - predysponowała go do odegrania roli jednego z największych zbrodniarzy tamtego okresu. Jeśli zaś jest to "banalne", czy wręcz śmieszne, jeśli nawet przy najlepszej woli nie sposób odkryć u Eichmanna żadnej diabelskiej czy demonicznej głębi, daleko tu jeszcze do nazwania tego czymś zwyczajnym. Nie ma bowiem niczego zwyczajnego w tym, że człowiekowi, któremu śmierć zagłada w oczy i który stoi już u stóp szubienicy, przychodzi na myśl jedynie to, czego nasłuchiwał się przez całe życie na pogrzebach i że owe "wzniosłe słowa" mogą mu do tego stopnia przesłonić rzeczywistość jego własnej śmierci. Na tym, że tak zupełne oderwanie od rzeczywistości i taka bezmyślność mogą spowodować większe spustoszenie niż wszystkie złe instynkty razem wzięte, a przyrodzone być może człowiekowi - na tym właśnie polegała w istocie lekcja, jaką można było odebrać w Jerozolimie. Ale lekcja - a nie wyjaśnienie zjawiska, ani wysnuta na jego temat teoria. Pozornie bardziej skomplikowane, w rzeczywistości jednak dużo prostsze niż badanie dziwnej współzależności zła i bezmyślności, jest zagadnienie rodzaju zbrodni, o jaką tu chodzi, i to zbrodni, jak wszyscy zgodnie orzekają, bezprecedensowej. Albowiem pojęcie ludobójstwa - wprowadzone właśnie na oznaczenie nieznanego dotąd rodzaju zbrodni - choć do pewnego stopnia dające się zastosować, nie jest jednak w pełni adekwatne, gdyż masakry dokonywane na całych narodach nie są bezprecedensowe. Na porządku dziennym występowały one w starożytności, a stulecia kolonizacji i imperializmu dostarczają licznych przykładów podejmowania prób tego rodzaju uwieńczonych mniejszym lub większym powodzeniem. Wydaje się, że wyrażenie "masakry administracyjne" lepiej przystaje do rzeczywistości. Określenie to powstało w związku z imperializmem brytyjskim; Anglicy świadomie zaniechali stosowania tego rodzaju praktyk jako sposobu zachowania swego panowania w Indiach. Wyrażenie to ma tę zaletę, że rozwiewa złudzenia, iż równie potworne czyny mogą być wymierzone wyłącznie w obcy naród lub inną rasę. Dobrze znany jest fakt, że Hitler rozpoczął akcję masowych mordów od przyznania "śmierci z łaski" "nieuleczalnie chorym", ostatnim zaś etapem swych planów eksterminacyjnych zamierzał uczynić likwidację Niemców "z uszkodzeniami genetycznymi" (osoby cierpiące na choroby serca i płuc). Zresztą poza wszystkim jest rzeczą oczywistą, że zabójstwami tego rodzaju można objąć jakąkolwiek grupę ludzi, co oznacza, że zasada doboru zależy wyłącznie od przygodnych okoliczności. Łatwo można sobie wyobrazić, że w zautomatyzowanej ekonomice nieodległej przyszłości ludzie mogą ulec pokusie zgładzenia wszystkich osób, których iloraz inteligencji plasuje się poniżej pewnego poziomu. W Jerozolimie sprawę tę rozpatrzono w sposób niedostateczny, gdyż w istocie bardzo trudno ująć ją w kategoriach prawnych. Usłyszeliśmy tam sprzeciwu obrony, twierdzącej, że Eichmann był przecież ostatecznie jedynie "trybikiem" w maszynie Ostatecznego Rozwiązania, a także sprzeciwu oskarżenia, które uważało, iż był on w rzeczywistości jej siłą napędową. Osobiście nie przywiązywałam do obu tych tez większego znaczenia niż uczynił to sąd jerozolimski, ponieważ teoria trybika nie ma z prawnego punktu widzenia najmniejszego sensu, a zatem nie ma żadnego znaczenia, jakie rozmiary przypiszemy "trybowi" nazwiskiem Eichmann.

**Pytania do tekstu:**

1. Na czym polega „masakra administracyjna”?
2. Czym skończyło się zadawanie „śmierci z łaski”?
3. „Trybik” a „siła napędowa”. Kto jest odpowiedzialny za sprawność systemów śmierci?
4. Czy zgadzasz się z tezą H. Arendt, że zło jest banalne?